

WILLIAM THOMPSON.

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

2

— Rozporządzać będzie nim mogła dopiero w przyszłym miesiącu, kiedy skończy 21 lat. Ale co dziwniejsze, droga moja, to fakt, że listy rzekomo pochodzące od Alice nie były pisane jej ręką, ale na maszynie.

— Hm... hm... Tak, to rzeczywiście bardzo ciekawe...

— Ale co mnie najwięcej zastanawia, to William Larkins. Czy nie uderzyło cię coś szczególnego w jego zachowaniu, kiedy siedział tutaj z Alice przy śniadaniu?

— Wydawał się mocno zajęty swoją towarzyszką.

— Tak... Ja siedziałam nawprost nich, więc mogłam swobodnie obserwować. Nie zauważyłaś nic w chwili, gdy zdjął jej rękawiczki?

— Nic.

— Słaba z ciebie obserwator! W chwili kiedy rękawiczka zsunęła się z ramienia Alice, w twarzy Williama odbiło się przerażenie. Usiłował je zamaskować swobodną rozmową, ale nie zupełnie mu się to udało.

— Cóżby to być mogło?

— Powtarzam, nie wiem, ale już wczoraj zwróciło moją uwagę dziwne zachowanie się młodego Larkinsa. Siedział z Alice w łóży, bawił ją wesołą rozmową, ale gdy tylko ona na chwilę odwróciła głowę, na twarzy jego odbijało się jakieś zakłopotanie i dziwne zmieszanie. Robił wrażenie, jakby walczył nadaremnie z jakąś niemłą myślą, upornie wracającą.

— Jednakowoż w najbliższych dniach mają być ogłoszone publiczne zaręczyny Alice z Williamem.

— Otóż to właśnie! Edyto, załóż się z tobą o tuzin rękawiczek z duńskiej skórki, że ostatecznie o zaręczynach nie ukaże się, dopóki...

— Dopóki?

— Dopóki nie wyjaśni się to tajemnicze coś, które powoduje, że William Larkins siedzi jak na szpilkach przy swojej pięknej narzeczonej.

— Zatem pamiętaj; że noszę rękawiczki numer 6 a ulubionym kolorem moim jest kolor liliowy... Ale rzeczywiście ta biedna Alice zmizerniała nadzwyczajnie. Jakaż ona blada, z twarzy jej znikły zupełnie dawne świeże rumieńce.

— Tak, a przytem podobno pamięć jej mocno ucierpiała. Podobno spoglądała przerażeniem oczyma na Harry'ego Bigsona, kiedy złożył jej wizytę i nie poznała go wcale.

— Wszystko daje dużo do myślenia, to prawda, ale tymczasem to my gadu, gadu, zagadałyśmy się, a to już późno. Ty miałaś przecież załatwiać sprawunki.

— Ach! co tam sprawunki — rzekła niedbale pani Larinson-Peach, ale zaczęła jednakowo szybko zbierać swoje drobiazgi: torebkę, woalkę, rękawiczki...

* * *

W godzinę później, automobil wiozący obie przyjaciółki, zatrzymał się przed olbrzymim „drapaczem nieba”.

— Boże wielki! Znowu jeden taki olbrzym! Po co to ludzie budują takie domiska, które zasłaniają niebo przed oczyma biednych mieszkańców miast.

— Ależ to bardzo wygodne. W tym naprzykład domu mieszczą się najrozmaitsze biura, kancelarye adwokackie, sklepy, magazyny mód. Tutaj też znajduje się najszykowniejszy „Instytut piękności”.

— Czy tam się udajesz?

— Tak jest, muszę sobie wypolerować paznokcie i utłenić włosy. Przytem drażni mnie ta mała brodawka na lewym policzku; muszę ją bezwarunkowo usunąć. O! ależ patrz! patrz!

— Co takiego?

— William Larkins wchodzi do bramy, a Price idzie naprzeciw niego! On ma także tu swoją kancelaryę.

— Cóż w tem nadzwyczajnego?

— Ach! ty głuptasie! Patrz, Will mówi do niego, Price potrząsa wahającą głową i spogląda na zegarek.

— Ależ, Nelly, daj spokój! Zauważa, że ich tak obserwujesz!

— Przecież patrzeć każdemu wolno! Spojrz, na

twarzy Price'a maluje się jakieś przerażenie! Wraca, Idą z powrotem! Will powiedział, że ma ważny interes, a Price jest jego najserdeczniejszym przyjacielem. Załóż się, że tu chodzi o Alice Sheffield.

— Hm! — mruknęła Edyta — Price jest adwokatem i to bardzo sprytnym w niektórych sprawach!

— Co przez to rozumiesz?

— To, co powiedziałam. Ale, droga Nelly, nie zapominaj o twoich sprawunkach i „instytucie piękności”.

ROZDZIAŁ IV.

Fatalna blizna.

Robert Price poprosił grzecznie swego gościa, aby usiadł pierwszy, poczem wszedł sam, zamknął drzwi i spuścił żaluzję. Podał Wilhelmowi fotel i rzekł:

— Siadaj, chłopie, i mów, co masz na sercu. Co ci się stało od wczoraj? Byłeś tak wesoły i swobodny,

— Tak, ale właśnie wczoraj moje niejasne przecucie, nieśmiałe przypuszczenie przybrało konkretne kształty. Robercie, ty jesteś jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który po wysłuchaniu tego, co powiem, nie nazwie mnie waryatem!

Poważna twarz Roberta przybrała wyraz troski i zakłopotania.

— Nie bój się, Will. Mów śmiało. Cokolwiek byś powiedział, nie nazwę cię waryatem. Wiem, że jesteś przy zdrowych zmysłach.

— Tak, jestem przy zdrowych zmysłach, ale wierzaj mi, wolałbym nie być!

— Willu, to coś bardzo ważnego. Mów więc, słucham. Zrobię dla ciebie, co tylko będzie w mej mocy.

— Robercie, ty wiesz, jak kochałem Alice Sheffield i czem ona była dla mnie?

— Naturalnie.

— Wiesz także, jaka rozpacz mnie ogarnęła na wieść o uprowadzeniu?

— Wiem.

— A jakże czułem się szczęśliwy, kiedy ją odzyskałem! I o tem wiesz, prawda?

— Tak!

— Robercie, posłuchaj! Pamiętaj, że ja nie jestem waryatem! Ja nie mam mojej Alice, ona nie powróciła.

— Tłumacz się jaśniej — rzekł Price.

— Nie umiem ci nic wytłumaczyć. Ale to, co mówię, jest prawdą! Ta dziewczyna, która przebywała w domu Johna Sheffielda, ta dziewczyna, która ma twarz, oczy, włosy, figurę, ruchy, głos Alice, nie jest moją Alice. To nie ona, pomimo, że przybrała to samo imię. Mojego serca oszukać nie może nawet to niezwykle podobieństwo!

— Dalej, dalej, cóż dalej? — nalegał Price.

— Pozwól mi zebrać myśli. Sam nie wiem, jak ci to mam wszystko wyrazić. Byłem u nich w domu, kiedy przybyła. Stary Sheffield mnie wezwał. Nie wiedzieliśmy dokładnie, kiedy powróci. List zapowiadał, że oczekiwać jej należy mniej więcej w godzinach od zachodu słońca aż do świtu. Służbie kazał Sheffield iść spać... Już dobrze po północy odezwał się dzwonek. Ojciec nie mógł postąpić kroku naprzód ze wzruszenia... Ten stary, surowy, twardy jak żelazo człowiek drżał i ślaniał się. Ja poszedłem otworzyć drzwi. Była silnie zawałowana. Pochwyciłem jej rękę, wołając po imieniu. Poczułem, że drżała na całym ciele... Pochwyciłem ją w objęcia, szalony z radości, ale wyrwała się gwałtownie. „Willu — zawołała — jestem strasznie zdenerwowana. To wszystko było tak okropne. Czuję zawrót głowy”. Z ojcem przywitała się równie chłodno, ale to mnie nie zdziwiło. Alice mało przebywała z ojcem i nie odznaczała się on nigdy zbyt wielką tklivością. To twardy człowiek.

— Tak, przynajmniej pozornie!

— Wkrótce przyszła ciotka i zabrała ją do jej pokoju. Wyszedłem z domu Sheffieldów i pieszo poszedłem do klubu, bo noc była prześliczna. Powinienem być się czuć szczęśliwy i uradowany, a rzecz dziwna; nie mogłem. Ciężko mi było na sercu. Zaczynałem się obawiać, czy przeżyte wrażenia nie złamały wesołej, żywej natury Alice.

— No, żeby złamać Alice, na toby trzeba bardzo wiele. Jej energia nie łatwo przedczem ustępuje.

— Właśnie!... Na drugi dzień złożyłem znowu wizytę, ale nie miałem sposobności mówić z nią sam na sam. Ciotka Betsy dotrzymywała nam przez cały czas towarzysztwa. Alice była blada, cicha, milcząca, bardzo zdenerwowana.

— To rzeczywiście niepodobne do dawnej Alice. Trudno przypuścić taką nagłą zmianę temperamentu.

— Naturalnie. Później zachorowała i naturalnie o niczem z nią mówić nie było można. Dopiero,

kiedy stan jej zdrowia poprawił się znacznie, zapytałem ją po porozumieniu się z ojcem, czy zgadza się na ogłoszenie naszych zaręczyn. Pytanie moje zaskoczyło ją widocznie, starała się dać mi wymijającą odpowiedź, zbyć mnie żartami, wreszcie poprosiła o zwłokę. Tłumaczyła się, że jest zbyt zdenerwowana, aby móżdż przyjmować wizyty i gratulacje... Musi naprzód przyjść do sił, a do tego potrzebuje spokoju.

— Zupełnie słusznie.

— I ja to przyznałem. Odwiedzałem jednak codzień Alice i jakieś niejasne podejrzenia zaczęły się coraz bardziej wkradać w moją duszę. Ja przecież Alice, moją Alice, tak dobrze znałem: jej ruchy, przyzwyczajenia, sposób mówienia i t. d., a u tej mniemanej Alice tego nie odnajduję. Przedewszystkiem zaś dręczyło mnie jakieś przecucie, dziwnie trwożne przecucie... Moją rolę narzeczonego grałem albo przynajmniej starałem się grać jak najlepiej, tak jak gdyby ona, ten sobowtór, dawniej była rzeczywiście tą dziewczyną, którą ja znam tak dobrze i kocham tak bardzo. Ale ja czułem, że to nie moja Alice — to jakaś obca dziewczyna, to jakaś rusalka, która przybrała twarz Alice, ale nie posiada jej duszy. Alice była żywa, wesoła, energiczna, otwarta, impulsywna. Ta dziewczyna jest inną i tylko stara się być taką samą.

— Czy to wszystko, Will?

— Nie! ja od dwóch godzin mam pewność, zdobyłem dowód, że...

— Dowód? Jaki? Pomyśl, co ty mówisz!

— Dosyć, myślałem, teraz jestem już pewny! Nie wiem, gdzie teraz znajduje się Alice Sheffield, nie wiem czy żyje jeszcze i czy jest zdrową. Mogę tylko Boga prosić gorąco, aby ją ocalił i zachował zdrową... Mam dowód, że dziewczyna, która gra jej rolę, nie jest nią. To nie jest Alice.

— Czy masz jaki na prawdę przekonywujący dowód?

— Tak jest! Posłuchaj i osądź!

Will zamiął na chwilę i zdawał się zbierać myśli, poczem rzekł:

— Robercie, czyś zauważył kiedy bliznę na ręku Alice? Jest to mała okragła blizna na zgięciu łokcia. Można ją widzieć tylko wtedy, kiedy ręka jest wyprężona.

Price skinął głową.

— Tak, zauważyłem tę bliznę.

— I Alice musi ją dotychczas mieć na ręku, żywa, czy umarła, ale... ale ta nie ma blizny. Jej ręka jest gładką jak marmur, bez żadnej skazy. Kiedy to zobaczyłem, przestałem wątpić!... Na miłość Boską, Robercie, co to jest?!

W pokoju zapanowała cisza, która trwała tak długo, że Larkins zerwał się z fotelu i zaczął przemierzać kancelaryę nerwowymi krokami.

Nareszcie Robert zabrał głos:

— Willu, w Nowym Jorku nie ma drugiego człowieka, któryby cię tak jak ja znał i rozumiał. Muszę ci jednak przyznać, żeś mi dał wcale nie byle jakie zadanie do rozwiązania.

— Więc?

— Wierzę, mój drogi chłopcze, że to wszystko jest prawdą. Ja sam zresztą nie tylko nieraz widziałem tę bliznę na ręku Alice, ale słyszałem o pochodzeniu tej blizny. Pani Larinson-Peach, która zawsze wszystko wiedzieć musi, opowiadała mi o niej. Usiądź więc znowu z łaski swojej Willu i pogadajmy swobodnie. Widzisz, jeżeli ty nawet nie mylisz się, jeżeli to nie jest Alice, to co robić w takim wypadku?

— Boże Wielki! przecież ja do ciebie po radę przyszedłem!

— To też będę się starał udzielić ci jej, jak tylko ta cała sprawa stanie przedemną w trochę jaśniejszym świetle.

— Ach! gdybyś ty mi mógł poradzić co robić, co robić? Wszystko jest lepsze, niż taka przekłeta bezczynność.

— Jeżeli Alice Sheffield jest gdziekolwiek więziona, to roboty nam nie zabraknie. Będziemy mieli wiele do czynienia. Ale naprzód, Willy, ty się nie rozgniewasz, nie zrozumiesz mnie źle, jeżeli zadam ci kilka nieodzownych pytań.

— Ależ pytaj — proszę cię!

— A więc... Czyś ty miał zupełne zaufanie do Alice i czy podczas jej nieobecności nie zwątpiłeś o niej?

— Ani na chwilę!

— Czy nie było między wami jakich sprzeczek i nieporozumień?

— Żadnych!

— Czy przed poznaniem się z tobą nie była kiedy zaręczona lub zakochana? Czy nie miała jakiejś pensjonarskiej miłości?

— Opowiadała mi nieraz, że w szkole nie miała